

# Chróścielewski, Tadeusz

---

## O Sadziu i Tadziu opowieść

---

Rocznik Mińsko Mazowiecki 2, 125-142

---

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## O Sadziu i Tadziu opowieść

*Bohaterskiej pamięci Czesława Sażyńskiego*

Do pierwszej klasy gimnazjum starego typu wstępowało się w wieku dziewięciu, dziesięciu lat. Na mnie ta ciężka powinność spadła w roku szkolnym 1930/31. Rok tamten i szereg następnych przesłoniły mi w pamięci tak już nieprzejrzyste chmury, że mało co przez nie widzę. Szkoła posiadała dwa budynki powilłowe: jeden za drugim, przegrodzone ogródkiem służącym do celów lekcyjnych i dziedzińcykiem. W pierwszym, licząc od ulicy i torów kolejowych - mniejszym - mieściły się klasy młodsze. W tym drugim, dwukrotnie chyba większym i z piętrowymi alkierzami (przenieśliśmy się tam po przejściu do czwartej lub piątej klasy) mieściła się w nim rezydencja pana dyrektora (bardzo groźnego) i kancelaria, a także pokój nauczycielski, w którym siedzieli jak trusie podczas pauzy i godzin wolnych panie i panowie nauczyciele. Pan dyrektor zwracał się do nich jak niedawno pan Marszałek do Sejmu. Dalej była sala gimnastyczno-rekreacyjno-zebraniowa, z krzyżem na głównej ścianie. Zaraz pod krzyżem był portret Pana Marszałka: ponieważ był wielkim człowiekiem, musiał wisieć najbardziej pobożnie. W alkierzach mieściły się klasy "starych" i pracownie. Budynek dla nas, młodszaaków, też był drewniany. Miał wysoki parter. Ozdabiał go wysoki taras. Prowadził on do klas, a zaś na sam taras szło się z lewej albo z prawej strony po drewnianych schodach. Taras wsparty był na drewnianych słupach, które łączyła balustrada z krzyżulców. Ten taras pamiętam dobrze, ponieważ każda młodsza klasa miała przed nim robioną fotografię "na wieczną rzeczy pamiątkę". Zachowało się tych fotografii pewnie bardzo już dziś niewiele, bo przyszła wojna, budynki spłonęły, koledzy zapodzielili się (niektórzy zapadli się pod ziemię), więc kto by dziś o tamtych zdjęciach pamiętał, wiedział, która to klasa, jak się nazywa ten z boku, a jak ten z przodu ostrzyżony na zero. Pan fotograf ustawiał nas w trzy rzędy, potem się chował pod czarny jak smoła materiał i mówiąc "uwaga" zdejmował kółko z otworka. Fotograf to pan Sażyński - ojciec naszego kolegi Czesia, którego, nie pamiętam czemu, ale długo, bo czasem i w czasie nowej wojny, nazywaliśmy "Sadziem". Wille na szkołę podarował sejmikowi, a także i wszystkie inne budynki, jakie posiadał na równie szczytne cele przekazał miastu weteran ze styczniowego powstania pan Filip Rodkiewicz. Sejmik miejski raczył przyjąć i momentalnie zapomniał o tak bogatym darze patrioty powstańca Rodkiewicza, który po oddaniu budynków, w tym budynku pośredniego między pomieszczeniem dla sprzętu strażackiego a salą odczytowo-teatralną, stał się z bogatego biedny. Niebawem zszedł z tego świata. Nie jestem pewny, czy mu ktoś w imieniu obdarowanego miasta zapalił choć świeczkę na grobie. Gdzie ten grób - też nie wiem. Przykład tylko uczy, że tak wielkim entuzjastą być nie warto.

Czesio, nie należał do chłopców ładnych. Przeciwnie, był okropnym brzydalem. Długoszyi, z silnie odstającymi uszami, o ustach krzywych i wypukło-mięsistych, posuwał się, szorując nogami (chyba płaskostopie). Najgorzej, że miał twarz, szyję, plecy w wielkie fioletowo-czerwone plamy. Padł bowiem, jeszcze chyba jako niemowlę, ofiarą okropnego wypadku. Matka przygotowywała, jak mi ktoś opowiadał, w wanience kąpiólkę dla dziecka: najpierw nalała samego wrzątku i już sięgała dla wyrównania temperatury po wiadro z zimną wodą, gdy dziecko albo straciło równowagę, albo chciało posiąść sztukę chodzenia tyłem... Wpadło i tylko szybka pomoc szpitalna uratowała go od śmierci... jednak urody nie mogła przywrócić.

Opowieści o okrucieństwie młodzieży, zwłaszcza tej z młodszych klas, w stosunku do uczniów niepełnosprawnych, wyglądem odbiegającym od normy, a także wobec niemrawych i bezradnych nauczycieli, wydają mi się - przynajmniej dawniej - przesadne i na ogół nieprawdziwe.

Przeciwnie jako uczeń, potem obserwujący młodzież nauczyciel, wreszcie wizytator, stwierdziłem co wręcz przeciwnego: niedołość, krzyżująca nieurodziwość, wzbudzały w klasach odruchy instynktu opiekuńczego. Naszym nauczycielem (o ile sami nie byli źli czy ze skłonnościami sadystycznymi) nikt nie robił umyślnie przykrości - brano ich nawet pod opiekę. "Sadziowi" z powodu nieurodziwości nikt nigdy nie dokuczył, przeciwnie, otaczany był życzliwością. Nikt nie wypominał nauczycielowi przyrody Geleniewskiemu, że właściwie nie wykładał i słowem nie odezwał się do uczniów, tylko rysował na tablicy bardzo udanie jakieś lwy czy orły i kazał nam te dzieła kredy do zeszytów przerysowywać. Fizyk, pan Klicki, rozchorował się nerwowo po szykanach, jakie spotkały endeków w okresie i po "sprawie brzeskiej" i masowym usuwaniu ich z posad. Najokropniejsze były napaście "strzelców" Ta paramilitarna organizacja rekrutowała, przynajmniej u nas, elementy bezideowe, prymitywów w mundurach wzorowanych na Pierwszej Brygadzie, którzy bodaj pojęcia nie mieli o dziejach i etosie tamtych strzelców, a swe obowiązki organizacyjne traktowali głównie po kiemliczowski: "Prać! Roztrzęsionego endeka pana Klickiego do domu odprowadzali starsi uczniowie, gdy jego chorobliwy strach się nasilił, nocowali u niego (zresztą i tak popełnił samobójstwo). Mój ojciec, pan Rowicki (b. poseł z ramienia Związku Ludowo-Narodowego), pan aptekarz Zabieło czy kupiec na dużą skalę Osetowski nie rozstawali się, wychodząc na miasto, dla odparcia napadu, z grubymi lachami, a także korzystali z ochrony niejakiego Tańka Sułka osiłka. Pokrzykiwania nowego dyrektora pana Antosiewicza także sprzyjały panującej wśród nauczycieli hysterii. Miły stosunek klasy do "Sadzia" nie wykluczał wyłączenia go spod abstrakcyjnych figlów szkolnych (byłoby to zresztą jakby wyprowadzeniem poza nawias). Zdarzyło się, że podczas wielkiej paury paradował dookoła sali rekreacyjnej z przyszpiloną przez kogoś informacją: "jestem osłem". Paradował i przyjmował, pamiętam, z niejaką przyjemnością, że stał się przedmiotem radosnego podziwu młodszych klas. Dopiero, gdy doszedłem do przekonania, że dość tych śmiechów i zdjąłem ostrożnie kartkę, a ktoś przyczepił ją koleźce Ekłowi; właśnie Czesiek, ku naszej nowej uciesze, wpadł w niebywałą wesołość i pokazywał palcami nam wszystkim, jaki to śmieszny napis Ekiel nosi, nic nie wiedząc, że sam był długotrwałym nosicielem tej "legitymacji". Lubiliśmy go wszyscy, chociaż słabo podpowiadał. Z dwóch powodów słabo: raz, że wykrzywienie ust osłabiało niezbędną subtelność dykcji, dwa - że zabraniał tego wpisany do dzienniczka regulamin szkolny autorstwa pana dyrektora - którym to dziełem bodaj sam tylko Sadzio się przejmował. Niechętnie też pożyczal chłopakom na wieczne nieoddanie stałówki do cieszącej się niezwykłą popularnością gry polegającej bodaj na zmuszaniu tych szacownych przedmiotów do zgodnej z regułą (nie pamiętam już jakiej) skoków. A miał Sadzio w swym wielkim i nieposzlakowanie czystym piórniku stałówek moc niemałą: "rybki", "krzyżówki", "zydki", "rondówki", "dziadówki" i wiele innych gatunków, których nie pamiętam. Był pedantycznie porządnym - jedynym chyba w historii całego szkolnictwa uczeń, którego rękawy marynarki nigdy nie zaznały śladów kredy. Pracowity był niesamowicie. Zeszyty utrzymywał w jeszcze większym porządku niż poświęcające się z takim oddaniem temu mału cenionemu przez chłopców zajęciu "dziewuchy", które nazywałem w domu ku radości rodziców, dla podkreślenia naszej dorosłości "nasze kobiety". Mimo tej pracowitości Sadzio, jakkolwiek zawsze należał do czołówki uczniów dobrych, tylko bodaj dwa razy zdobył kwartalny tytuł prymusa, choć nierozstawanie się z tym tytułem założył sobie - potem się zorientowałem - jako główny cel życiowy: miało to być uzyskanie jakiejś godnej satysfakcji za niedoskonały wygląd fizyczny. Pomimo bezprzykładnej pracowitości "Sadzia" prymusami byli zazwyczaj o wiele mniej przykładający się do lekcji, do tego sportowcy - Marian Wójcik i prawie tak samo zdolny "Dyda" Godlewski. Jedną z najlepszych uczenic była też koleżanka, w której "Sadzio" aż do samej śmierci najszczęśliwiej się kochał, chabrooka Miśka, niesłychanie łatwo opanowująca języki obce, świetna recytatorka, dysponująca nadzwyczajnym poczuciem rytmu i wzruszającym do łez mezzosopranem.

Witka Godlewskiego nazywaliśmy całe lata "Dyda", gdyż pomylił się i tak nazwał opowiadając chyba na historii dzieje Eneasza po zburzeniu Troi królową Kartaginy Dydonę. "Dyda" przyległa do Witka na zawsze. Tak nazywano go w podchorążówce, tak podobno, nie znający, rzecz jasna, genezy przezwiska - studenci politechnicy. Tak, być może podwładni i koledzy w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, gdzie przez wiele lat był figurą i bodaj częściej podróżował służbowo po świecie niż papież. Calej tej trójce sukcesy szkolne przychodziły bez większego wysiłku, bez zaorywania się.

Nie od razu siedziałem z "Sadziem" w pierwszej ławce środkowego rzędu - ławce, dającej pilnym, ambitnym uczniom uzyskanie pochwał - za przykładne siedzenie, bez wiercenia się i za częste podnoszenie palców do góry, co znaczyło chęć odpowiedzi na zadane klasie pytanie, ponieważ jest się właśnie znakomicie przygotowanym, co w moim wypadku bywało często zagraniami pokerowymi.

Siedzieliśmy razem w każdej kolejnej klasie. Nie od razu, gdyż w pierwszych tygodniach czy miesiącach nauki, zrażony do chłopców z powodu ich ustawicznego wiercenia się, przeszkadzania pani... i mnie, grania palcem na moich uszach, podkładanie pinesek, wreszcie mówienie wyrazów, których grzeczny uczeń nawet znać nie powinien, przeniosłem się do rzędu, który zajmowały właśnie "nasze kobiety". Zostałem przez te nobliwie istoty, trochę mi matkujące (były wyższe i jakby szersze) mówiące czule, rade ściskające i chętnie podpowiadające, potraktowany nadzwyczaj miłe. Nie wiedziałem jednak, że zламаłem tym przejściem do nich naszą męską solidarność. W tamtym wieku (tego już chyba nie ma i ze względu na dominację szkół koedukacyjnych w szkolnictwie i oswojenie się ze sobą płci w drodze kontaktów koleżeńskich i oglądania telewizji) obowiązkiem zucha było gardzić "babami", podstawiać im nogi, łapać za warkocze i w ogóle mieć je w najgłębszej pogardzie, choćby za niedostateczną zuchwałość i w ogóle ciele-majowy sposób bycia, w tym obrzydliwy zwyczaj "lizania się" na przywitanie. Toteż zostałem nazwany czy mianowany przez kolegów "baskim królem", co było najobelżywszym ze wszystkich obelżywych epitetów. Podległem też bardzo ścisłemu bojkotowi towarzyskiemu. Wtedy pani (wychowawczyni), zdawszy sobie sprawę z tragizmu mojej sytuacji, przesaadziła mnie do ławki "Sadzia". Od razu poлюбiliśmy się i ta nasza nadzwyczajna przyjaźń koleżeńska przetrwała całe życie (jego życie). Mieliliśmy sobie, naturalnie na pauzie, mnóstwo tajemnic do przekazania. A ponieważ były to sekrety do grobowej deski, wymyśliliśmy język specjalny, żeby nikt nie wiedział, o czym mówimy, właściwie to nie my wymyśliliśmy, tylko zapożyczyliśmy od Karola Maya z nieznannej wyjątkowo chłopakom powieści "Błękitno-purpurowy Matuzaleem". Ulepszyliśmy jednak ten język. Wytłumaczyliśmy kolegom, że to język chiński, ale różnił się on od polskiego dodawaniem do każdego polskiego czy uczniowskiego wyrazu jakiejś szczególnie wytwornej końcówki z języka "Państwa Środka" - w rodzaju "jang", "czang", "ulang". Od czasu do czasu wkładaliśmy między tak przybrane wyrazy słowa właściwie nic nie znaczące, za to utrudniające odkrycie przez "patałachów" naszego klucza językowego, jak "nanking", "jangsekiang". Brzmiało to dla przykładu tak: "Słuchang Kochanyng nanking Tadziang teng Ekielczeng to ting głupiang jangse". "Kochanyng Szadziang - odpowiadałem - Dydang większang...". Otaczał nas powszechny podziw: "Słuchajcie oni naprawdę mówią ze sobą po chińsku! Gdzieście się chińskiego nauczyli? Wyjaśniałem w prostackim polskim języku" "Ojciec Sadzia przyjechał z Mandzurii. Tam pełno właśnie Chińczyków, co jedzą ryż, o tak! - pokazywałem przy pomocy obsadki. - On się od nich nauczył". "A Tadzio - tłumaczył Sadzio - pojechał tam ze swoim tatą budować most przez Mont Ewerest i też się nauczył".

Nie zapomnę moich pierwszych imienin, kiedy zostałem uczniem. Dostałem od moich "starych" i cioc z Siedlec sporo kosztownych prezentów. Grzecznie dziękowałem, ale tylko raz. Natomiast "Sadziowi", który dał mi znaczek pocztowy z Afganistanu, nie ustawałem dziękować. Było za co: na znaczku widniał duży lew. Stał na czterech łapach, ale w pierwszej, lewej trzymał półksiężyc. Napis dookoła głosił: "Daulati-i Padiszach-ji Afghanistan".

Kiedy siedliśmy do stołu, koledzy za chwilę podnieśli się z miejsca i odśpiewali na moją cześć: "Sto lat, niech żyje nam". Popłakałem się z radości, że mi wszyscy, a zwłaszcza "Sadzio", tak długiego życia życzą.

Po panu Klickim popełniła samobójstwo pani Rudnicka. Mniej ją lubiłem. Przejęta swymi jakimiś zmartwieniami, nie zauważyła nawet, że jestem najlepszym geografem w klasie, który przed lekcją z nią uczy całą klasę o Sardynii czy Kongo, bo sama tłumaczyła tak cicho i mało chętnie, że trudno było im zrozumieć. Nigdy nie zauważyła mojej ręki wzniesionej, że chciałbym odpowiadać. Mam wrażenie, że nie znała nawet naszych nazwisk i nie wiedziała, co kto umie, toteż każdemu, i mnie też, stawiała te same stopnie - trójki.

Pewnego razu nie przyszedł na lekcję pan Geleniewski od przyrody. Byłem u niego najlepszym uczniem. Podczas ostatniej lekcji siedział cały czas na katedrze w milczeniu, a mnie dał album pt. "Atlas zwierząt ssących" i kazał na tablicy narysować wielkiego nietoperza: klasa go odrysowywała z kolei do zeszytów. Następnej lekcji z nim czekałem z dużą niecierpliwością, bo przyjemnie jest być pierwszym w klasie i być pomocnikiem pana. Dopiero coś po dwudziestu minutach weszła pani i ożajmiła, że lekcji przyrody nie będzie dziś i prosiła, żebyśmy hałasem sąsiednim klasom w lekcjach nie przeszkadzali. Na wielkiej pauzie koleżanka Baśka "Długa" pobiegła do głównego budynku na przeszpiegi (udała, że niby ma interes do pana kancelisty) i wróciła z wieścią, że pan nie będzie już nas w ogóle więcej uczył, ponieważ "odszedł w zaświaty" i "targnął się na życie". Bardzośmy się tą wiadomością przejęli. Następnego dnia Czesio-"Sadzio" pierwszy raz w ogóle się spóźnił i na pauzie dał znak, żebyśmy złamali regulamin i nie od razu wyszli z klasy, bo ma coś do powiedzenia. Opowiedział wtedy sen, jaki mu się tej nocy przyśnił: Profesor Geleniewski stał jak zawsze na katedrze. Prawie taki jak zawsze, tylko miał trupią czaszkę zamiast głowy. Śmiał się do nas zębami i piszczał ręki wzywał kolegów rządkiem przed katedrą. Jako pierwszą wzywał koleżankę Jadzię Karwowską, córkę miejscowego "człowieka interesu". Miała złote włosy i bardzo niebieskie oczy i, kiedy się śmiała, złote błyski w tych oczach. Trochę z nią chodziłem po wojnie, ale ponieważ nie należałem do "zwycięskiej siły narodu - klasy kapitalistycznej", wyszła za bogatego "sokoła" biznesmana i zmarła, kiedy miała wydać na świat małe dzieciątko. Zaraz po niej zawołał właśnie Sadzia i tłukł go czymś. Czesio, gdy to opowiadał, stał się błąd z tej boleści. Spytałem poszczęglając zębami, czy i mnie pan Geleniewski nie wzywał przed katedrą do zaświatów. Sadzio wyznał, że owszem, świdrował mnie oczodolami, ale ostatecznie nie wzywał. Kolega, nazywany przez nas "Hencyklapą" (nie był z grona uczniów najlepszych, ale przez rozsądek i dobre rady życiowe stał się niejako naszym dowódcą) powiedział, że nie ma się co "egzezerować" (dziwne słowa umiał mówić) straszliwościami, lecz kto co ma z pieniędzy (a zawsze mieliśmy na czekoladki z niespodziankami - obrazkami w środku, żeby spróbować szczęścia na wielkiej pauzie w kiosku szkolnym) dać zaraz księdzu Dziągowi, a ksiądz za to odprawi w naszym imieniu mszę za spójność duszy pana od przyrody. Ksiądz Dziąg nas pochwalił, ale pieniędzy nie przyjął. Powiedział, że jak już odżałowaliśmy "anglasy", (te czekoladki), to włóżmy w kościele do puszek "na chleb świętego Antoniego". Mszę obiecał odprawić nazajutrz przed lekcjami, żebyśmy zdążyli wrócić z kościoła do szkoły. Pomogło - bo otdąd pan Geleniewski ani Sadiowi, ani Hencyklapie, ani nikomu z nas się nie śnił.

Ojciec Sadzia, pan Sażyński, niskiego wzrostu i chudy, nie tylko łobił nam za pieniądze zdjęcia do legitymacji, ale chętnie przychodził do szkoły z wielkim pudłem na podstawie i nakrywszy się cały czarnym materiałem robił klasom zdjęcia przed drewnianym tarasem na wieczną pamiętkę. Wojna sprawiła, że na pewno niewiele tych "wiecznych pamiętek" zostało, a jeśli zostały, to dzieci i wnuki chłopaków ze zdjęć guzik zupełnie obchodzi, kto tam stoi na lewo, prawo, od góry od bachora, który ma być podobno ich dziadkiem, zresztą jak i sam dziadek wyglądał też ich nic nie obchodzi. Pan Sażyński jeździł też z nami na wycieczki do ładnych miejsc, nie tylko żeby opiekować się Sadiem, ale żeby znowu zrobić nam zdjęcia na różnych łodziach i przed zamkami na wieczystą pamiętkę.

Ponieważ zdarzało się, że w wycieczkach brało udział i po stu uczniów, więc na tym czy tamtym zdjęciu znalazła się na prawo czy na lewo ode mnie osoba, do której czułem wtedy pierwszy raz w życiu miętę i chociaż osoba ta liczyła sobie dwadzieścia czy trzydzieście lat, niektóre osoby naprawdę mi bliskie nie wiem czemu nie lubią takich zbiorowych koedukacyjnych zdjęć sprzed sześćdziesięciu laty.

Z Czesiem - "Sadziem" rywalizowaliśmy o pochwały pań i panów i w ogóle o sukcesy - z tym, że ja nie na wszystkich lekcjach, tylko ulubionych. Nie zawsze się i jemu i mnie udało osiągnąć na nich sukcesy. Kiedy na przykład pani Klimaszewska od historii zadała nam pytanie, jaki jest czy był, naszym zdaniem, największy władca czy wódz w naszym kraju. I dziewczuchy, które na ogół nie rozumieją, tylko powtarzają za panem dyrektorem jak papugi, i pilny Czesio zawołał chórem: "Pan Marszałek Piłsudski". Ktoś - "Bolesław Chrobry", a ja, żeby zwrócić uwagę oryginalnością mych sądów i odróżnić się od nie myślących papug, zawołałem: "Leszek Biały"! - co klasa pokwitowała śmiechem z gatunku "poznać głupiego". Pani też była daleka od podzielenia mego sądu, a chodziło mi w tym wyborze o dwie sprawy: Pierwsza - Leszek Biały był zdecydowanie najprzystojniejszym i najbardziej rycerski w całym poczie królów polskich Matejki, a Matejko się przecież zna na rzeczy. Drugie - Leszkowi należała się choć taka satysfakcja za okrutną śmierć, jaką zadali mu Branderburczycy - wrogowie... Druga moja klęska przydarzyła się, kiedy po pochłonięciu jednym tchem (trzy dni przez to żadna siła nie mogła mnie wyrzucić do szkoły, dopiero jak skończyłem) "Iliady" Homera, którego podobno nie było - napisałem wspaniałą wiersz o nieszczęściu tego bohaterskiego miasta i co się w świecie stało po jego spaleniu. Był to chyba jeden z pierwszych moich wierszy. Pamiętam jeszcze do dziś strofę końcową:

*O Trojo, Trojo!  
Wkrótce w twoje mury  
Wtargnie Grek dziki,  
Zhańbi twoje córy!...  
Wówczas świat ujrzy Ilijon w płomieniach,  
Aby Rzym powstał z woli Przeznaczenia  
I katolików dał zreć na arenach!*

Z triumfalną miną dałem ten wiersz niby do oceny, a tak naprawdę do pochwały, panu od łaciny, Leśniakowi. Pan od łaciny niespodziewanie szybko wiersz przeczytał i wyszło na jaw, że się nie zna.:  
- Tadzio, zajmij się lepiej czymś pożyteczniejszym.

Nie zająłem się jednak czymś pożyteczniejszym i do dziś.

Sadzio dla odmiany chciał zwrócić na siebie uwagę długimi, malowniczymi wypracowaniami. Pan od polskiego, Pierzan, przeczytał najpierw po cichu, a potem już dla naszej wiadomości, głośno, jego wypracowanie opisujące bal kostiumowy, jaki zorganizował dla nas pan dyrektor (kazał wszystkim przyjść z rodzicami i zapłacić słono za bilety). Kiedy pan doszedł do miejsca w obszernym wypracowaniu Sadzia: "Poloneza czas zacząć, pan dyrektor rusza", pan się zdziwił i zapytał śmiesznie siebie samego na głos: "Czy ja już tego gdzieś aby nie czytałem?" "Słyszał pan profesor! słyszał! - zawołałiśmy równocześnie z "Dyda", ale "Dyda" miał silniejszy głos. Bardzo wiele pracy kosztowało Sadzia wypracowanie o wrażeniach, jakie wywarła na nas pierwsza jazda do Warszawy nowozbudowanym tunelem. W wypracowaniu było tyle opisu czerni, czelusci, trupich fosforycznych światełek w różnych odstępach podczas jazdy, że pan czytając aż się przelał i powiedział, że dotąd myślał, iż to taki zwykły tunel, a teraz już wie, że jest to wjazd do piekła... A potem mówił o jakimś takim samym prawie dziele komediopisarza pana Dantego. Niemniej Czesiek należał do piątki uczniów najlepszych, a ja, ku żalowi ojca i niektórych panów profesorów, chociaż zdobyłem (z tym, że w klasach starszych) autorytet jako specjalista od historii Polski i Grecji czy nauki o poetach (byli moimi kolegami) zaledwie trójczyny.

Dwa były tych trójczyn powody. Pierwszy - posłuchanie się poetów: Peipera, Przybosia i Brzękowskiego - którzy uczyli, że prawdziwy poeta ma obowiązek uprawiania ortografii i przestankowania niezależnego, tymczasem pani tego prawa nie uznawała. Drugi - pani uważała, że najlepsze książki prozą napisali dziś: Leon Kruczkowski, Jalu Kurek i pani Wanda Wasilewska, ja natomiast za największych pisarzy uznawałem: Kosaak-Szczucką, Marię Malewską i Kazimierza Wybranowskiego, czyli Romana Dmowskiego: był to pseudonim tego bardzo wielkiego człowieka. Trudno więc było być z panią w zgodzie. Nie miałem zresztą za dużo czasu w klasach najstarszych na uczenie się, zwłaszcza matmy, ponieważ zajmłem się polityką i byłem politycznym wodzem dorodziejących już wtedy oponentów partii rządowej. To mnie trochę (ale trochę tylko i nie długo) oddaliło od Czesia, który był upartym zwolennikiem Marszałka i zatykał sobie uszy, gdy mówiłem mu o zamachu majowym, "sprawie brzeskiej", zaginięciu generała Zagórskiego, uwięzieniu Rozwadowskiego itp. W dalszym ciągu siedzieliśmy jednak razem. Starłem się mu pomóc w jego niedoli, kiedy beznadziejnie zakochał się w Miśce, a nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przy swoim wyglądzie beznadziejnie. Starłem się również wymóc na tejże Miśce, by do Czesia uśmiechała się częściej i mówiła sympatyczne słowa, a że pomyślny finał tego ulokowania uczuć nie był możliwy (dziewczyna była, jak wspomniałem - ładna i świat, jak wino, bił jej do głowy) do dziś nie wiem, czy wymuszeniem na niej tego karesowego zachowania się nie było z mojej strony złą robotą. A w ogóle w ostatnich latach zmienił się całkowicie nasz stosunek do "głupich babsztyli", "dziewuch" itp. Ten i ów - nie tylko Czesio - kochał się w tej czy w tamtej ze starszych klas, odrabiania lekcji wspólne zamieniały się w tańce. Poczuliśmy się ryccerzami naszych dam i w ogóle dam w mundurkach szkolnych - aż do przesady.

W siódmej - przedmaturalnej - klasie zarządziłem strajk prawie całej młodzieży klas starszych. W strajku i wymaszerowaniu czwórkami ze szkoły ze śpiewem "hej, kto Polak, na bagnety" nie wziął udziału Czesiek, gdyż trzymał się ściśle wskazań regulaminu uczniowskiego, i jeszcze jedna panna, której nawet imienia, chociażem niemłody, z pewnych względów nie podaję. O co poszło? Chociaż teoretycznie wszystkie przedmioty lekcyjne są wyjątkowo ważne, w praktyce dla młodzieży starszej na przykład nauczyciel robót ręcznych z którym miało się do czynienia jedynie w klasie pierwszej, był dla nas... dorosłych - niedonauczyicielem. Dodam jeszcze, że poważni nauczyciele, jak matematyk pan Rawski, historyk Gajewski sami jako pierwsi kłaniali się swym dorosłym uczniom. Tamtego dnia wybuchła awantura: nowo przyjęty nauczyciel robót ręcznych, czyli po naszymu "pan robotnik", od którego emanował po prostu brak wychowania, a może i kompleks niedouczka - niedonauczyiciela, zatrzymał przed szkołą nasze uczennice w wieku dam, zbeształ je nie po nauczycielsku, kazał cofnąć się, ruszyć naprzód i pierwszym nisko się uklonąć. Byliśmy w pobliżu. Wybuchła awantura między nami a nim na temat grzeczności i jej form. Szybko nabrała charakteru wysoce niewersalskiego i ... O tym, co po "i" napisałem wyżej.

Warunek, jaki postawiła prawie setka młodzieży, brzmiał: wrócimy, jeśli nowy dyrektor, poczciwy - bardzo lubiany i znakomity organizator pan Łupiński, usunie nauczyciela chowanego w lesie. Nasz strajk był chyba jednym tego typu zjawiskiem... od czasów Wrześni. Dyrektor był bezradny. Kuratorium, znając nastroje panujące w szkołach, bało się, żeby strajk nie nabrał charakteru... antyrządowego. Rodzice urządzali zebrania i pod przewodnictwem mojego ojca raz po raz naradzali się, jak wybrnąć z sytuacji... Tymczasem my na nieczynnym wale kolejowym, blisko karczewskiej szosy, założyliśmy, "Akademię Podwale". Przerabialiśmy klasami lekcje według programu, po czym opalaliśmy się, graliśmy w "listonosza", tańczyli. Ostatecznie dyrektor, kuratorskie władze i rodzice osiągnęli kompromis: każdy z uczestników nielegalnego opuszczenia szkoły otrzyma na okres trójkę ze sprawowania (na okres, nie na świadectwie rocznym), a "pan robotnik" od nowego roku szkolnego (ten zbliżał się do końca) zmieni szkołę.

Ponieważ obowiązywała nas nieprzyjemna uchwała wobec łamistrajków (skrótowa wskutek mego uporó do dwóch tygodni), nie odzywaliśmy się, choć mi się serce krajało, ani do Sadzia, ani do osoby płci żeńskiej, której srogi tata zabronił udziału w "puczu", przez - owe długie jak rok dwa tygodnie....

Nadszedł czerwiec, "dawno zapowiadany między ludem" jako najstraszniejsze dni i godziny, jakie ucznia na tym łez padole mogły spotkać (odtąd już do samej śmierci spodziewaliśmy się spokoju). Na pisemnym z matny Czesiek złamał swoją zasadę posłuszeństwa wobec nakazów i zakazów i podrzucił mi z doskonałą zręcznością ściągę.

Czesiek - Sadzio wstąpił w Warszawie na łacynistykę, Miśka na germanistykę, ja, jako poeta, co już w "Ławie Szkolnej", "Orłętach" i w "Życiu Podlasia", drukował, naturalnie na polonistykę, co powitane zostało przez Stońskiego, Doroszewskiego i Krzyżanowskiego jako przykład... rodzinnej skazy genetycznej, jako że przede mną na tę akurat filologię zgłaszały się kolejne moje trzy starsze siostry.

Sadzio, zgodnie ze swoją zasadą, był chyba jedynym wstępującym studentem, który po uzyskaniu prawa do noszenia białej jak śnieg, z czerwoną obwódką rogatywki bratnickiej, który nie wytarł porządnie o buty śnieżnego denka i nie powyginał rogów czapki, w ogóle nie obsamulał jej, żeby nie wyglądać, broń Boże na "zielonego", ale przy sprzyjających okolicznościach nawet na "wiecznego studenta", co to niby studiuje, a nie studiuje, zmienia fakultety ani myśli niczego zdawać i staje się w ten sposób arystokratą danej uczelni. Pokupował bruliony i wziął się ostro do chodzenia na wykłady, na jakie tylko można było. Zaczynał już bąkać o czekającym go kolokwium... i byłby studentem najszczęśliwszym w świecie, gdyby... Gdyby starożytna jędza, córka Nocy i Erebu (ta, która zrobiła mu straszną krzywdę, gdy jako tyci bobas miał jeszcze trudności z chodzeniem) nie czuwała nad swoją ofiarą. Pierwszym nieszczęściem dawno już dającym mu się we znaki, ale wtedy i w następnych latach jego opętania doszło do zenitu, było urzeczenie Miśką. Dziewczyna była nie tylko bajecznie zdolna i pełna poetyckiego uroku, a także bez specjalnych zahamowań w pewnych dziedzinach, ale i sprytna. Często przychodziła do niego do domu, przyjmowała kosztowne prezenty, za które najmilszym z uśmiechów dziękowała, bacząc jednocześnie, żeby jej ten "brzydał", nabrawszy naglej odwagi nie pocałował. Zapewne, to co się stało, było wynikiem czułego zamyslenia. Stało się zaś już po wykładach, na rogu placu Napoleona i ulicy Górskiego... Ukazała się we wszystkich centralnych pismach od "Kuriera Warszawskiego", po "Express Wieczorny", "Mały Dziennik" (księdza Maksymiliana Kolbego), ba, "Polskę Zbrojną" ta sama wiadomość nadana przez PAT pt. "Student pod kołami autobusu". Wypadek nie należał do takich sobie. Obszar pokieraszowań Czeška znacznie się powiększył. Dość długo był w szpitalu. Marzenia o karierze antycznej się skończyły, bo czy on, czy jego rodzice bał, bali się odtąd jego wyjazdów do Warszawy. Pozostał w domu i pomagał rodzicom w prowadzeniu atelier (prowadził kancelarię zakładu i uczył się tego pięknego rzemiosła). Już teraz należałoby może zaznaczyć, że atelier państwa Sażyńskich znajdowało się na skrzyżowaniu Karczewskiej i Legionów, czyli pośrodku przedmieścia i trudno było wybrać się po coś do miasta, by nie wpaść po drodze do przyjaciela szkolnego - gościnnego i lubiącego takie odwiedziny. Zdarzało się, że pomagałem mu w odpieraniu zarzutów panius, co dużo lepiej o swej urodzie sądziły, niż fotografia była w stanie potwierdzić. Mówiłem wtedy: "słowo daję, że paniusia nie docenia swego całego uroku, jaki wydobywa na wierzch to zdjęcie. Ja gdybym był nieco starszy, przyglądając się temu zdjęciu, wolałbym się ożenić z panią niż ze Smosarską czy Garbo".

Czas wreszcie powiedzieć, że Czesiek miał dwóch młodszych braci: Witka i Tadka. Chodzili do klas młodszych, więc tych, z którymi uczniowie klas starszych na ogół się nie zadawali. Po trosze mi już po maturze przeszło jednak tamtoczesne zadzieranie nosa. Chłopcy byli mili i ładniejsi od Sadzia. Zwłaszcza Tedeck.



"Nastaly te pory, że z nieba ogień wytrysnął". 6 września po silnym bombardowaniu naszego miasta w rejonie stacji, kiedy to i nasza "buda" spłonęła, i nasz dom został uszkodzony trzema bombkami, matka, tak samo jak już raz podobno zrobiła w lipcu 1920 roku, nie pytając nikogo o zdanie, zdjęła znad swojego łóżka ukochany obraz łaskami słynącej w naszym domu Matki Boskiej, w drugą rękę złapała małego wnuczka Andrzejkę i pognała przed siebie na wschód. Ojciec z konieczności za nią (w imię złożonej kiedyś przed ołtarzem przysięgi), za ojcem siostry. Ja udałem się do RKU na Piękną, bo już najwyższy czas było wstąpić na ochotnika do armii. RKU było puste. Na schodku siedział opuszczony przez cały chyba personel kapitan Książkiewicz. Sam nie wiedział, co zrobić ze sobą. Słyszał, że za Bugiem tworzą się jakieś ochotnicze oddziały, ale już pociągi przestały chodzić. Poradził, żebym, póki się sytuacja nie odmieni, pozostał z rodzicami. Kazał ich pozdrowić. "No, a co pan robi, panie kapitanie?". Milczał, potem zrobił taki ruch, jakby przykładając palec do skroni. Nigdy go już potem nie widziałem... Matka dopiero we wsi Karolina, za końcem cmentarza i wąskim laskiem poczuła się prawie bezpiecznie. Skorzystaliliśmy z chłopskiej gościny. Na drugi dzień Niemcy podpalili wieś bombami zapałającymi. Stanęliśmy z ojcem na czele młodszych, mniej apatycznych wieśniaków i przyczyniliśmy się niemało do ugaszenia pożaru. Bombardowanie okolic Mińska i miasta wzmożło się. Zaczęły też bić skądś z bliska armaty. Znaczy: Niemcy przerwali front i aż tu nas otaczają. Gdzieś od Mieni odszczekiwały niemieckim nasze wątłe armatki. Przypominało to poszczekiwanie jamników na jakieś psy wielkie i hałaśliwe. Nie meldując się, rzecz jasna, matce, wsiadłem na rower i popędziłem do Mińska, by zasięgnąć języka. W całej Karolinie nie było nikogo, kto by miał radio. Jechałem. Nad głową wysoko przelatowały mi nasze i ich pociski. Resztki mieszkańców uciekały z miasta. Usiłowali mi wyperswadować jazdę w odwrotnym kierunku, niczym trupy Arabistanu jęczące: "o szalony, gdzie on goni?". Wpadłem po wieści do Czeska. Atelier było naturalnie zamknięte. Całą ich rodzinę odnalazłem na ich podwórzu w rowie przeciwniebieżnym. Nadleciały nowe eskadry wroga. Naszych ani na lekarstwo. Sażyńscy doprowadzili drut od anteny do rowu i wiedzieli, co się w kraju dzieje. Witek i Tadek zastanawiali się po cichu przed rodzicami, jak tu zwać za Bug. Czesio był nad podziw spokojny i imponował mi wiedzą, co to za maszyny właśnie nadlatują: czy messerschmity czy jakie inne. W jakie bomby są wyposażone, jaką osiągają szybkość. To naradzanie się, by zemknąć nad Bug, było, okazuje się, skutkiem niedawno przekazanego przez radio rozkazu pułkownika Umiałowskiego (kto to taki?), żeby zdolni do noszenia broni odchodzili na wschód z miejscowości, do których zbliżają się Niemcy. Nagle jednak odezwał się w radiu zapowiedziany przez spikera prezydent Miasta Stołecznego Warszawy Starzyński. Jego rozkaz był wprost przeciwny: Zdolni do noszenia broni, którzy już nieopacznie opuścili naszą bohaterską i niezłomną stolicę, a nie zdążyli odejść daleko, mają natychmiast zawrócić. Mają też udać się, i to też natychmiast, do Warszawy, mieszkańcy miejscowości niezbyt odległych od miasta. "Warszawa nie będzie miastem otwartym. Zmienia się od tej chwili w twierdzę i potrzebni są jej właśnie młodzi bohaterowie". Jak młodzi bohaterowie, to naturalnie i ja! Do Karoliny już nie wrócę. Kazałem Witkowi udać się do tej wioszczyny, zawiadomić i uspokoić moich starych. Czesio nie tylko był zdania, że słusznie robię, ale okazał się, jak zawsze dobrym kolegą, a do tego człowiekiem nadspodziewanie trzeźwym i, jak zawsze wobec mnie - niesobkiem. Spojrzawszy na mnie (a nie wiem, dlaczego wydawało mi się od kilku dni i nikt z domowników nie zwrócił uwagi, że się mylę, że jak taka straszna wojna, to trzeba chodzić na wszelki wypadek jak najgorzej ubranym), że samo posiadanie roweru nie wystarczy, potrzebne mi do pobytu w Warszawie lepsze spodnie, dwie koszule, kałesony i skarpetki, no i jedzenie, zanim się tam nie urządzi czy mnie nie urządzi. Naturalnie i walizka na bagażnik, który na szczęście miałem. Gdyby to był czas zwykły, a nie przypuszczalna klęska, bym się przed przyjęciem tego typu darów bronił, wymawiał, ale że to była wojna, czułem się całkiem w porządku, iż lakonicznie tylko podziękowałem jemu i państwu Sażyńskim.

Do Warszawy nie sposób było normalnie jechać, lecz oparłszy się o rower wlec się w tłumie. Tłum musiał składać się nie z samych tylko kandydatów na bohaterów, lecz i złodziei, którzy mi nie wiedzieć kiedy rower oraz znaczną część zaopatrzenia Sadziowego skradli. W Warszawie do pułku "Dzieci Warszawy" nie przyjęto mnie: i ze względu na nie całkiem wystarczające kwalifikacje, a głównie chyba dlatego, że nie sprawiałem wrażenia robotnika, szczególnie chętnie śpiewającego "Na barykady, ludu robotczy, czerwony sztandar" i.t.d. Oblężonemu miastu przydałem się, choć nie jako żołnierz, lecz członkiem studenckiej organizacji nagłej pomocy. W dwa tygodnie później, po kilkudniowych bombardowaniach dywanowych Warszawa, jak wiadomo, padła. Mogłem wrócić do Mińska. Byłem głodny. Gdzieś koło wioski Konik zwyczajcy posilali się chlebem i czymś smacznym. Zwróciłem się do nich niezłą niemczyzną, żeby mi odsprzedali pół kromki chleba. Odpowiedzieli słowami niegodziwymi. Na wysokości Skrudu jechał w kierunku Mińska jakiś chłop z furą wyładowaną całkiem niechłopskimi meblami. Poprosiłem, by mnie podwiózł. Za darmo nie chciał, za pieniądze polskie też nie, bo "gówno warcie". Zaproponowałem mu parę dolarów, które od kogoś, nie pamiętam, dostałem. Odpowiedział, że na co mu "takie tureckie cudaki". Doszedłem więc znowu na piechotę. Naturalnie najpierw dowlokłem się do Sadzia. Atelier już pracowało i on wydawał jakieś kwitki po ślubnych zdjęciach. Z początku patrzył na mnie z niejakim zdziwieniem - od niejakiej trwogi do niewypowiedzianej czułości. "Skarbów", które mu dałem (z tych, które ocalały) nie chciał przyjąć. Rodzice moi i siostry, a jakże, w domu! Tylko biedę klepią, bo podobno też ich okradli ze szczętem. Najważniejsze dla nich będzie, no a dla niego już jest, że żyje. Na początku rozmowy odniosłem wrażenie, że patrzył na mnie jakby niepewnie i z rodzajem strachu. Dopiero po chwili cieszył się już jakoś normalnie, ba, z westchnieniem ulgi. Okazało się, że Baśka "Długa" naplotła, że ona, czy jacyś jej znajomi widzieli moje rozkładające się zwłoki wśród mas ciał za Stjadłami, gdzie był ciężki nalot na szosę, bodaj tamtego dnia. Rodzice i znajomi nie znaleźli jednak moich zwłok wśród trupów: widocznie ktoś już uprzedził i pochował. Moi od zmysłów wtedy odchodzili. Książk Dziąg też się niezmiernie zmartwił i zaraz w czarnej kapie odprawił mszę za spokój mojej duszy. Na mszę przyszli: państwo Hubertowie, pani Kuloff, państwo Sażyńscy, Kajnszowie. Pierwsza zemdłała moja matka. To samo, po rozejrzeniu się, uczyniła Baśka "Długa". Ponieważ okazało się, że mimo wszystko żyje, matka zemdłała także ujrzawszy mnie niebawem po rozmowie z Czesiem w drzwiach domu, przy kominku przeciągniętym od kuchni, a nazwanym "kozą". Lecz teraz było to zemdlecie radosne.

Zaczęło się pięć lat (u nas krócej) okupacji. Państwo Sażyńscy stali teraz dużo lepiej finansowo niż my. "Rudzki" jeszcze wtedy stał. Gdy ruszył, płacił ojcu grosze. Właściwie utrzymywała nas siostra, która od listopada 1939 r. pracowała jako nauczycielka tajnego nauczania w mieście, z nadzorem pedagogicznym nad prowadzonym przez siły znacznie mniej kwalifikowane w osadach i dużych wsiach powiatu. Płacono jej w prowiancie, co było znacznie cenniejsze od złota. Państwo Sażyńscy, jak wspominałem, nie mogli się skarżyć na brak zamówień. Ich klientami byli nierzadko oficerowie niemieccy bądź dygnitarze NSDAP, którzy chcieli przesłać rodzinie swe podobizny w chwale otrzymanych świeżo krzyży żelaznych czy odznaczeń patryjnych. Chłopi, którzy w wielu wypadkach przepadali teraz za odkupowaniem od zbiegającej inteligencji fortepianów, portretów przodków, przepadali za uroczystymi zdjęciami w kapeluszach, nieraz z piórkami. Nie wszyscy byli zbyt zainteresowani szybkim zakończeniem wojny. Niemcy często dawali do wywoływania i zrobienia odbitek taśmy klisz uwieczniających ich zabawy kawalerskie ze szpapssem, szampanami i nie ubranymi panienkami, w których Sażyńscy i ich "rzeczoznawcy" nierzadko poznawali nasze miśszczanki.

Odbijali je w znacznie większej ilości odbitek niż opiewało zamówienie i przekazywali młodzieńcom, którzy już dość szybko, jeszcze przed powstaniem ZWZ, zaczęli grać rolę polskiej policji obyczajowej - tyle, że przejmujący - na razie ochotniczo - tę rolę nie tyle zajmowali się, nie jak przedwojenna: wyłapywaniem uczniów na mieście po godzinie uczniowskiej. Ich działalność od początku była nader dolegliwa. Pejczy były w robocie i maszynki do golenia na zero bujnych loczków. Nie wiem dziś, od kiedy właściwie zdałem sobie sprawę, dlaczego w Czesia na wolnych od klientów w krzesłach zaczęli przesiadywać nieznani mi lub mało znani, na ogół nie z dawnych szkolnych paczek, młodzi ludzie będący za pan brat nie tylko z Witkiem i Tadkiem, lecz i ze starszym Czesiem - bądź co bądź posiadaczem studenckiego indeksu. Zdaje się, że już w tamtych czasach przestałem nazywać Sadzia "Sadziem". Byliśmy dorośli. Pełno też młodych ludzi w innym zakładzie, z początku, ściszało głos na mój widok, a także gdy ktoś inny niepowołany przyszedł, powiedzmy, po lampkę karbidową. Był to składzik, zarazem warsztacik ślusarski państwa Kazikowskich, który teraz po zestarzeniu się ojca prowadził Janusz, też mój kolega szkolny z sąsiedniej ławki, członek Koła Akademickiego: uczył się tajnie okrętownictwa, gdyż po wojnie ten typ inżynierii będzie bardzo potrzebny w stocznicach naszych wielu nowych portów. Potem jego goście już nie zniżali na moje wejście głosu. Nietrudno się domyśleć (dowiedzieć nie, tylko domyśleć: konspiracja wymagała b. ścisłych sekretów), że w obu wypadkach trafiłem na "punkty" miejsca kolportażu prasy podziemnej, utrzymywania łączności, przekazywania meldunków. W dziewiętnastym wieku lub wcześniej nazywałyby się, być może, "kordegardami". Naturalnie przebywali tam najczęściej ludzie nie pracujący na posadzie (mieli mocne ausweissy) czy w fabryce, i nie z tajnego nauczania. Studenci tak: mogli być, bo zbytnio nie obciążały ich seminaria czy szperanie po bibliotekach (w wojnę zamkniętych)... Niebawem z Jurkiem S. i Wieśkiem R. (nie podaję nazwisk, bo nie wiem, czy sobie życzą: wróć do tej sprawy) modliłem się po złożonej przysiędze przed obrazem, będącym parafrazą Królowej Anielskiej Bartolomea Murilla w naszym kościele. Przysięgę złożyliśmy na absolutną wierność Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW). Odebrał ją od nas młody człowiek o pseudonimie "Mateusz". Punkt powstał w mało uczęszczanym sklepiku studenta tajnej latynistyki. Drugi był nie pamiętam u kogo, w oficynie jakiejś posesyjki koło Kasy Chorych przy ul. Kazikowskiego. Zaraz potem do naszego ogrodu przytaszczono i kazano skrycie zakopać przy końcu ogrodu (dopóki nie odbiorą, co stanie się, mówili za tydzień, lecz stało się dużo później) ogromny ładunek dynamitu - taki, że połowa miasta mogła wraz z nim wylecieć w powietrze. Gdy wreszcie odebrano, stało się niesamowicie głośno na torach na wschód od nas, chyba gdzieś pod Cegłowem. Zaczęliśmy jako drużyna - wyjątkowe słowo na wyrost - pluton, szkolenie wojskowe, też na wyrost nazywane "podchorążackim". Na polecenie, jak się domyślałem, wysokich władz podziemnych cywilnych (przekazane mi za pośrednictwem osób trzecich) przekształciłem założone przeze mnie kółko o charakterze cygeneryjno-sportowym "Królestwo Bazelia" w Koło Akademickie, poważne i liczne, o profilu samokształceniowo-artystycznym i ogólnopatriotycznym - z kilkoma sekcjami - rekrutujące młodych ludzi po maturach, poszukujących odpowiadającym ich tajnych uczelni, studentów przedwojennych i tych, którzy dopiero teraz podjęli studia (niekiedy pomagałem im w dotarciu w podziemie uniwersyteckie). Od 1943 zacząłem (byłem już na tyle zaawansowany w studiach), z początku pod opieką siostry, później samodzielnie belferkę w mińskim tajnym gimnazjum i liceum. Jednocześnie pracowałem w fabryce "Rudzkiego" jako przyuczony technik, kontroler nitowania, spawacz, wreszcie dolmoscher. Nie była to bynajmniej jedynie praca dla ausweissu, lubiłem ją i przekształciłem się w tych umiejętnościach niemało - tyle że nie obowiązywała mnie dyscyplina pracy i w każdej chwili mogłem, czy to jechać do Warszawy na seminarium, czy na miasto: organizować kolejne zebranie koła. Dużo czytałem w kilku językach (studiowałem, poza polonistyką, ruscystykę) i brałem udział w imprezach "Sztuki i Narodu" oraz pisałem wiersze. Gdy patrzę dziś na tamte lata, nie mogę zrozumieć, jak na to wszystko starczało mi czasu, skoro dziś nie brakuje mi go tylko na spanie.

Jak wspominałem, atelier państwa Sażyńskich leżało pośrodku śródmieścia. Zawsze więc tam wstępowałem po drodze z nawyku i z przyjaźni, chociaż Czesiek do Koła Akademickiego nie należał (z tych samych przyczyn, z jakich nie brał udziału w akcji AK: poza brakiem sił fizycznych, był przede wszystkim "znacznym" - przeszkoda podstawy). Raz czy dwa pomagałem mu w identyfikacji rodaków na przyniesionych przez Niemców do wywołania zdjęciach z zabaw i zbliżeniach między płciami - dostarczenie tej dokumentacji "kedywowi" oraz fotografii zwyczajnych niemieckich, na których szykował się zamach, było głównym jego zajęciem. Bez powodzenia usiłowałem w dalszym ciągu nakłonić panią jego serca, by albo "poświęciła się", albo dała mu święty spokój. A normalnie Czesiek dopomagał ojcu w prowadzeniu zakładu, uczył się fachu, prowadził całość roboty papierkowej. Dlaczego latynistyki nie kontynuował, choć trzech dojeżdżało z Mińska, nie wiem. Może lękał się podświadomie autobusów, ale głównie też chyba dlatego, że był "znacznym". Dlatego trochę mi się dekomponuje wspomnienie. Piszę teraz już przeważnie o sobie, o Czesku znacznie mniej (do czasu jednak!). Po kilku wykładach z dziedziny wojskowości, taktyki i posługiwania się kilku rodzajami broni palnej, "Mateusz" i jego pomocnik nie zjawili się przez bardzo długi czas. Zamiast nich zgłosił się do mnie młody człowiek, po którego nerwowym sposobie bycia, zwyczajowi rzucania wkoło niespokojnie oczami łatwo było poznać kogoś, kto ma kłopoty z "legalnością", i najnieudolniej jej objawia. Powiadomił mnie, choć raczej niechętnie, że władze londyńskie dołączyły NOW do AK, ale - orzekł jakby dla pocieszenia - mamy nadal całkowitą swobodę co do realizacji naszego programu ideowego. Zebrania, jakie dotąd będzie sprawnie przeprowadzał, poświęcone będą przez to wyłącznie szkoleniu ideowemu. I rzeczywiście było to zebranie kropka w kropkę takie, jakie z Jurkiem S. Dytnerowskim i wieloma kolegami przechodziliśmy jeszcze w latach licealnych. W sytuacji, w której pali się świat i lada chwila musimy jako pełnosprawni żołnierze brać udział w zupełnym zdruzgotaniu Wehrmachtu, gdyż wreszcie Churchill z armią brytyjską, polską, amerykańską i kanadyjską uderzy w "miękkie podbrzusze Europy" od południa, wyprzedzi w tej mierze zamiary Rosji i przywróci Polsce ład przedwrzesniowy, była to, niezależnie od zesterzenia się wspaniałego niegdyś światopoglądu, daremna strata czasu. "Konrad" uczynił mnie swoim powiernikiem; założył tygodnik "Głos Narodu" na powielaczu (dwa numery wyszły, wątpię czy jakiś egzemplarz pozostał). Któregoś dnia kazał mi wydobyć przechowywane głęboko, jako akcesoria na wypadek rewizji, niesłychanie niebezpieczne (skąd się dowiedział?) wizerunek piastowskiego orła i Szczerbca Chrobrego, ponieważ - oznajmił - chciał nadać szczególnie uroczystą oprawę przyjęcia do NOW nowych jakichś członków. I to w czasach, kiedy nawet stałym akcesorium lekcji na każdym komplecie gimnazjalnym była butelka wódki i jakieś zagrychy, aby lekcja wyglądała jedynie jak czyjeś imieniny i w razie czego (wszyscy się wyuczuli) błyskawicznie przejść na śpiewanie zawodowo ochryplymi głosami "Pije Kuba". Zirykowało mnie to bardzo mocno. Odmówiłem wygrzebania z drewni i wypożyczenia mu wspomnianych rekwizytów - ze względu na bezpieczeństwo, poza tym zażądałem stanowczo kontynuacji szkolenia czysto wojskowego: nie czas - powiedziałem - na zajmowanie się tak partykularnymi sprawami jak uczenie się jak katechizm wywodów że "Świat powojenny a Polska", czy nauk Giertycha o wszechładzie masonerii w dziejach polskich. Rolę swoją w NOW z konieczności ograniczałem do kolportażu pism, jakie wychodziły po likwidacji, mimo heroicznego oporu naszego pisma "Walka", którego redakcja mieściła się blisko Czerniakowa, a potem, ponieważ tamto połączenie AK i NOW posunęło się mocno, poza naszym pismem, również "Biuletyn informacyjny AK" (czasem z Warszawy, czasem od Czeška czy, dziwna rzecz, mojej zastępczyni w Kole Akademickim czy od młodego trasaera z fabryki). Rozmowa ze mną doprowadziła "Konrada" do mało męskiego płaczu i wyrzutów, że on się poświęca, a my cierpimy na ostrożność i nie wiemy, co to poświęcenie dla Ojczyzny. Niebawem zginął podobno w Warszawie w dziwnych okolicznościach. Szli naprzeciwko niego żandarmii i ten ni z tego, ni z owego zaczął uciekać, co skłoniło zdziwionych w pierwszej chwili żandarmów do zastrzelenia go. Zostaliśmy sami. Mateusz się nie zjawił.

Nie miałem możliwości ani prawa przenosić punktu ze sklepu w inne miejsce. Według zasady punkty powinny być co miesiąc, dwa zmieniane. Nastąpiła wspania. Brunona aresztowano, tak samo Wacię Czarnecką i inżyniera Zbigniewa Naramowskiego. Powróciła z Oświęcimia po wojnie tylko chora Czarnecka. Tamtego dnia (była to niedziela) po mnie też przyszło gestapo. Na szczęście nie w swych klasycznych godzinach przed świtaniem, lecz w czasie, gdy byłem akurat na rannej mszy. W porę powiadomiony, udałem się do przewidzianego na taką chwilę dworu pod Niemojkami. Tam zgłosiłem się do miejscowego oddziału AK i udało mi się nie tylko wziąć udział w kilku akcjach i że dwa razy nie strzelić Panu Bogu w okno. Potem musiałem zamieszkać u koleżanki pod Warszawą, by uzyskać jak już wspominałem, na polonistycę absolutorium. O tym wszystkim o wiele szerzej pisałem w innych książkach. Po trzech miesiącach wróciłem do rodzinnego miasta, w którym po okresie przejściowym zacząłem się nie tylko pokazywać na ulicach, lecz i wróciłem do porzuconych zadań. Zarzykowałem bardzo mocno, tymczasem nikt mnie w miasteczku, gdzie wszyscy wszystkich znają, nie wydał, co nie tylko pozwalałem sobie przypisywać pomyślnym faktem, że szef gestapo, który wydał polecenie aresztowania mnie, został zabity (mówiono, że tym, który zastrzelił tamtą osobistość był Kazimierz Aniszewski, strzelec wyborowy, najmłodszy z trzech Aniszewskich, z których dwóch nazywaliśmy "Mancyklapa" i "Hencyklapa") inni podają inne nazwisko wyborowego strzelca - po 50 latach przymusowej ciszy o tej akcji, z całą pewnością prawdy się nie docieczę. Inni oczyścili podobno archiwum gestapo czy żandarmerii z "kompromitujących" i mnie dokumentów. Ponieważ do dworu pod Niemojkami przyjechała, żeby dać mi niezbędną w mojej nowej sytuacji lewą kennkartę (wraz z prymitywnym życiorysem do przyswojenia na wszelki wypadek) moja zastępczyni w Kole Akademickim, zarazem koleżanka z tajnej polonistyki. Musiała czekać na mnie we dworze, ponieważ akurat byłem na akcji z bronią. Teraz, gdy już od kilku miesięcy byłem w Mińsku jako tako bezpieczny (jak wszyscy), przyszło mi do głowy, że musi mieć łatwe dojścia do najwyższych władz cywilnych i wojskowych miasta i powiatu, a na zjawienie się kogoś nowego z NOW trudno było dłużej czekać, tym bardziej, że może też nacisk kłaść na przestarzałą ideologię. Zwróciłem się więc do niej któregoś dnia o pośrednictwo. Był to początek 1944 r. Nic mi nie odpowiedziała (jakby nie słyszała czy nie rozumiała), poza tym prawie natychmiast przyszedł Mietek Jankowski. Powinnowałem mu ukończenia podchorążówki ze stopniem najniższym co prawda, ale oficerskim. Podziękował mi, nic nie zdziwiony. Jeszcze jeden przykład na to, że tajemnice konspiracyjne u nas nie były absolutnie szczelne i nie mogły być, bo za małe miasto, wszyscy się znali i spotykali na różnych odcinkach pracy, powiedzmy "nielegalnej". I tak niewiedza nawet szeregowych konspiratorów o tym, co na szczytach władzy, była, jak widać choćby z napomkniętej wyżej przeze mnie prośby, całkiem ścisła... Mietek przyszedł, żeby nas oboje przekonać, że trzeba jak najszybciej do programu odczytów z dyskusjami Koła wprowadzić temat "dokończenia reformy rolnej po wojnie". Po zjeździe nieświeskim arystokracji z Piłsudskim tempo je zostało silnie zwolnione, aż ustało, a tymczasem administracja w polskim podziemiu komunistycznym (podobno stało się nadzwyczaj aktywne) tę sprawę stawia na porządku dziennym, a wiadomo, jak bardzo za interesowani są nią chłopci. Musimy w walce z ich ruchem, (zwłaszcza, że nadejście jako pierwszych do Polski przez "miękkie podbrzusze Europy" i wyprzedzenie Rosjan nie jest podobno takie pewne, jak było niedawno) mieć argumenty na wypadek walki politycznej, a może i domowej. Projekt Mietka powitaliśmy z tym większą radością, że projektowane na luty odczyty poświęcone wielkim współczesnym ideologom, (żebyśmy dysponowali wiedzą, nie "austriackim gadaniem" - m.in. właśnie o marksizmie - leninizmie) zostały ze względów od nas niezależnych przełożone na marzec. Od razu mianowałem go głównym prelegentem. Umówiliśmy się, że jutro da nam do wglądu konspekt. Na szczegółowe omówienie Mietek i tak wtedy nie miał chęci, ponieważ spieszył się na randkę z Heleną - swą ukochaną, przystojną zeszłoroczną maturzystką, która przygotowywała się (dziewczyna o wybitnym talencie) do Akademii Sztuk Pięknych (tajnej).

Siostry ustaliły na jutro godzinę mnie także odpowiadającą. Nazajutrz przyszedłem do ich pokoju na jakieś pół godziny czy wcześniej przed zapowiedzianym przyjściem Mietka, by spokojnie porozmawiać, między innymi o naszych wierszach. Każde z nas pisało. Korepetytorem na tym polu był Krzysztof Baczyński, młodsza M. nie potrzebowała korepetytora. Wyjątkowo zdolna, prymuska klasy maturalnej, hufcowa Szarych Szeregów (hufca żefiskiego) i założycielka wzorowanego na naszym Koła Licealnego - nie potrzebowała korepetytora, a tylko traktowania swego talentu na serio, a nie jako test: czy ja też potrafię? - czego się, okazało, słusznie bałem. Ja pod wpływem kolegów ze "Sztuki i Narodu" zmieniałem poetykę z tradycyjnej na prozę poetycką, fantasmagoryczną, z pożyczkami z "Wesela" Wyspiańskiego. Zamierzałem dać szykowanej książeczce tytuł "Uczta Aureliana", przeciwko czemu obie siostry właśnie protestowały, uważając go za zbyt manieryczny. I w tej właśnie chwili rozległo się do ich drzwi z głębi mieszkania delikatne pukanie, które żadnej z nich nie zdziwiło. Do pokoju wszedł ich ojciec w towarzystwie ni mniej, ni więcej tylko Władka Klimaszewskiego. Stanowiliśmy, gdy już dorosłem, on i dwie jego siostry i dwie moje siostry i ja - jeszcze od przedwojny pogodną grupę, starającą się przezwyciężyć okupacyjną teraźniejszość kawalerskim stylem życia, popisywaniu się żartami - z siebie, z sytuacji. Władek był, bezrobotnym bodaj w tym czasie, inżynierem leśnikiem. Skończył też, jak wszyscy zdrowi, z roczników moich sióstr podchorążówkę, do czego jakoś w naszych kontaktach nie przywiązywałem znaczenia. Witając się ze mną w tym nietypowym dla naszych spotkań miejscu (zwykle spotykaliśmy się albo u nas, albo u nich; mieszkali w willi pani Buchowieckiej na Stankowiznie) ku mojemu zdziwieniu przedstawił mi się, i dość nieoczekiwanie: "porucznik Boruta". Oznajmił, że na moje życzenie porozmawiania z nim zjawia się tu z ojcem moich koleżanek, którego funkcji nie wymienił, ale która, choć cywilna, musiała być bardzo wysoka. Oznajmił też, że przybył z upoważnienia "majora Lubicza", który już wie, że mało mi moich cywilnych obowiązków i że chcę ich repertuar gwałtownie poszerzyć. Z ojcem obu koleżanek, przedwojennym naczelnikiem kolei nieraz rozmawiałem - raczej na tematy codzienne, (studiów polonistycznych moich i jego córki, sytuacji ogólnej) jakbym rozmawiał z każdym czytającym prasę podziemną, więc na poziomie "agencji JPP" (jedna pani powiedziała). Za każdym razem kończył rozmowę prośbą o przekazanie memu ojcu ukłonów, z czego mogłem wnioskować, że musieli się gdzieś poza moją wiedzą także spotykać. Ponieważ domyślałem się, że jest w podziemiu kimś, poza tym on to namówił mnie swego czasu na przekształcenie Bazeliatu w poważne Koło Akademickie i zmianę jego profilu (zaprosiłem go przed Bożym Narodzeniem, jako jednego tylko z niewielu ludzi starszych, na premierę w naszym dużym hollu jednoaktówek Fredry i Marivaux) debiutu naszej sekcji teatralnej z dochodem co łaska na dobrojenie AK. Obaj przybyli panowie podjęli rozmowę ze mną nie tylko z pozycji dobrych znajomych i osób bardziej nawet obczehanych z moimi problemami niż myślałem, ale i z pewnym, choć grzecznym, służbowym dystansem. Ojciec sióstr powiedział, że jego prywatnym zdaniem powinny mi wystarczyć, poza Kołem i nauczaniem, studia, gdyż po tej hekatombie krwi ludzie po studiach z tytułami naukowymi będą potrzebni na wagę złota, ale nie może mi jednak zabronić... Władek zniechęcając mnie do wstąpienia po śmierci "tego nieszczęsnego waszego Konrada", który chcąc jak najlepiej zmarnował jednak wasz NOW, sięgnął do wspomnień znanych tylko mnie i jemu (za co byłem na niego trochę zły, bo dziewczyny słuchają): "Pamiętasz, jak pod sam koniec 1939 r., żeby zdobyć dla naszych domów trochę grosiwa, wynajęliśmy się obaj do rąbania drzewa. Niewieleś wtedy narażał i co chwila chciałeś odpocząć. Więc rozumiesz, że mimo najlepszych chęci nie każdy się do wszystkiego nadaje?". Choć rozmowa, jak wspominałem, była niezupełnie rozmową cywilną, szepnąłem Władowi, wspiąwszy się trochę na palce, i do ucha: "A guzik masz rację!" Potem opowiedziałem wszystkim swoje przeżycia, kiedy to podczas złożonej analizy z klasą maturalną "Wyzwolenia", wpadł ktoś na komplet i nawet mnie nie przeprosiwszy zawołał: "pije Jakub do Michała" wyciągnęli nagle granaty, spluwy... Po chwili zostałem sam w pokoju z głupią miną. A Stefan Kazikowski, który uczy łaciny i nie jest wcale silniejszy ode mnie, tak mi się zdaje, chodzi, jak wypadnie, wspólnie ze swoimi uczniami na akcje.

- Pan dobrodziej jakoś dużo wie - zażartował Władek.

- Bądź poważny - zwróciła mi dziwnie pryncypialnie uwagę Baśka - jesteś co prawda u koleżanki, ale, jak zauważyłeś, nie jesteśmy bynajmniej z kolegami.

Ale obaj panowie kiwnęli ku sobie nieznacznie głowami. Ojciec pańien oznajmił, że istotnie od połowy lutego (a był już koniec stycznia) rozpoczynają nowy kurs. Nie będzie się nazywał "podchorążówka", bo nie ma czasu bawić się i nazywać coś na wyrost, ale jeśli tak bardzo pan odczuwa tak silne, choć chyba przesadnie silne, niedoszkolenie wojskowe i coś jak wyobcowanie, choć tyłu ludzi ma pan w Kole i w tym ludzi dalekich od pańskiej osobistej ideologii (aluzja, że wzięłem trochę studenterii z PPS, ale oni też są przecież reprezentowani w rządzie londyńskim), to jeśli nie chce pan być gorszy u "Rei" (Stefan?)... aha, a może pozwoli pan, że się przedstawię: "Plot" (był to pseudonim bardzo wysoki i niemal legendarny), to niebawem... porucznik "Boruta" "powiadomi pana, gdzie i kiedy. Proszę przekazać wyrazy mego głębokiego uszanowania swojemu ojcu". Obaj pożegnali się ze mną półwojskowo. Ledwie wyszli, wśród Mietek, prawdopodobnie był na dole umyślnie zatrzymany. Konspekt bardzo nam się z Baśką podobał. Hufcowej także, bo zaproponował jego powtórzenie w Kole Licealnym.

Mietek się spieszył. Domyślaliśmy się nawet gdzie. Chce się pewnie spotkać ze swoją Haliną, której rodzice wyjechali właśnie do stolicy, tfu, Generalnej Guberni, by pod nosem Franka szukać w malarii akademickiej tajnej protekcji do przyjęcia córki mimo spóźnionej pory do Akademii Sztuk Pięknych. Szkoda, bo jest bardzo przydatna w Kole - przede wszystkim w sekcji teatralnej: znakomicie gra amantki i pierwsze naiwne. Wyszliśmy z Mietkiem razem, a ponieważ w Mińsku nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, ale wszystkie w stronę atelier państwa Sażyńskich, wstąpiliśmy tam razem. Ja do Czeska, on do bardziej z nim zżytego Witka i Tadka. Była i panna Cudna - praktykantka. Ich starzy też wyjechali. Może do rodziny, może na poszukiwanie po GG klisz szybowych i chemikali? Klientów było tego dnia wyjątkowo mało, toteż Czesiek zaprowadził nas do pokoju gościnnego z wielką kanapą. Po pomyślnych przeżyciach dnia wpadłem w wyjątkowo dobry humor. Dziś żadne z dzieci, a tym bardziej z wnuków, wzięby za bajkę, że ten stary mruk bywał kiedyś wesoły i tryskający dowcipem. Tyle, że zdarza się, iż dowcip dowcipowi jest nierówny i zdarzają się obok udanych... całkiem nietrafione.

Nie wiedzieć czemu, wydrwiłem jakąś nie istniejącą skazę na urodzie utalentowanej sympatii Mietka. Mietek natychmiast dał mi niespodziewanie w mordę. Dałem więc i ja jemu. Po sekundzie tarzaliśmy się po dywanie okładając pięściami. Niespecjalnie nam w tym przeszkadzano, tyle, że panna Cudna przesunęła zapasową kamerę poza prostokąt dywanu. Po chwili uspokoiiliśmy się. Sprawę uznałem za skończoną i nawet, nie pamiętam czemu, przypieczętowaną samokrytyką. Poszedłem, gdzie miałem pójść. Mietek też chyba w wiadomym kierunku? Po powrocie do domu odezwał się dzwonek do drzwi. Ucieszyłem się gościnnie - w drzwiach stanęli Janusz Kazikowski i właśnie Czesiek - tyle, że jak przebierańce, bo w czerwonych garniturach i z muszkami. Czesiek wydawał się zażenowany i dawał zza pleców Janusza znaki, że on "musiał" jako pod nieobecność rodziców... gospodarz, ale że robi, żeby było dobrze. Za to Janusz arystokratycznie przez nos oznajmił, że ... nie jest Januszem, tylko sekundantem, podobnie jak "szanowny pan Czesław Sażyński" i że do jutra rana mam im przysłać moich sekundantów. Wyzywającym i obrażonym jest pan Mieczysław Jankowski i do niego jako strony obrażonej należy wybór broni. Nie była to więc wizyta mile koleżeńska... Rano czwórka zastępców ustaliła, że satysfakcją będzie pojedynek na szable... do pierwszej krwi. Potem być może pobiegli na miasto szukać tej staropolskiej broni. Wieczorem bez szczególniejszego ducha bojowego udałem się (na wszelki wypadek w srogiej tajemnicy powiadamiając siostrę) na miejsce, którym, ustalono, miało być to samo, gdzie nastąpiła obraza "panny Heleny". Gdy zjawiłem się, natrafiłem na konsternację "zastępców" i wspomnianych stałych gości młodych Sażyńskich. Okazało się, że poszukiwanie na mieście dwóch, w dodatku jednakowych, szabl nie dało rezultatu: była tylko druciana szabla sportowa z kulką i bagnety.

Różnorodność tych narzędzi obrony honoru wywołało niemałe zamieszanie. Wtedy sprawę wziął w swoje ręce nie żaden sekundant, tylko jeden z gości, niejaki Piórko (uczył się przed wojną na kursach bokserskich). Zaproponowano, żeby honorowi zadość się stało - pojedynek na pięści rękawicami bokserskimi. Te zaraz przyniósł. Pojedynek miał być w trzech rundach, on miał być sędzią, zaś rola sekundantów zmalała, ja i wszystkich obecnych do roli gapiów. Pojedynek - mecz odbył się według wszelkich przepisów - tyle, że waga musza stanęła do walki z półśrednią. O zwycięstwie decydowała nie pierwsza krew (choć nie była wykluczona), lecz punkty... Doskakiwałem, jak mogłem do brody przeciwnika, dryblas młócił rękawicami z góry w dół, macerując klatkę piersiową. Mietkowi już chyba dawno gniew przeszedł, jak, wspomniałem, od początku nie miałem łwiego animuszu, zwłaszcza wiedząc, że nie reprezentuję racji. Po drugiej rundzie, zwłaszcza, że "pierwsze krwi" mieliśmy obaj za sobą, sędzia przerwał walkę, ogłaszając zwycięstwo Mietka. Uznałem jeszcze raz swój żart za nieudany i przeprosiłem swego zwycięzcę. Ucałowaliśmy się z dubeltówki, zwłaszcza, że serdecznie się lubiliśmy (żeby nie ten, do diaska, honor!). Sadzio wyciągnął z jakiejś skrytki rodziców napój zwany alkoholem. Urozmaiciliśmy picie kilkoma brudersaftami. Ja z Witkiem i z Tadkiem, mimo ich niesędziwego jeszcze wieku. Nawet z "sędzią", który nie poznał się na moich bokserskich kwalifikacjach. Z Cudną - nie - bo niektórzy czytelnicy tego nie lubią. Cudna odwołała mnie za to na werandę, gdzie przed chwilą toczyliśmy bój i zwierzyła mi się, że szable znalazły się, tylko pan Czesław kazał jej ukryć je głęboko przed resztą panów. "Niech pan nic nie mówi, że to panu wygadałam"... Opijanie niegroźnych wyników i pokancerowań pojedynku weszło już w stadium, kiedy wszyscy, bez względu na to, czy ktoś miał słuch czy nie, śpiewali chórem: "Hej, koledzy, dalej żywo, zaciśniemy bratnie dłonie, w spólne łączmy się ogniwo, co nie tryśnie aż po zgon" (zegar wybił zaawansowaną godzinę... ostatnią).

Tym razem "wsypa" była gigantyczna. Objęła czy nie połowę zbrojnego i niezbrojnego podziemia w naszym nie tak przecież dużym mieście. Nie będę wchodził w szczegóły. Pisano o niej niejednokrotnie, choć z nader różną dokładnością... Śmierć (męczeńska) na Pawiaku, śmierć podczas stawiania oporu tym, co przyszli nad ranem, straty poniesione podczas bitwy pod Latowiczem, ucieczki, zanim przyszli, czy przebiecia się bez powrotu - zabrały około 70 najpiękniejszej młodzieży i inteligentów. Z tych wymienię tylko doktora Jana Huberta, świętego starca, jednego z prawdopodobnych pierwowzorów postaci Judyma w "Ludziach bezdomnych", znakomitego polonistę, zarazem szefa tajnej podchorążówki, podziwianego jako świetny mówca - profesora Tadeusza Smoleńskiego, profesora Redę, rodzinę Popielów, wreszcie całą rodzinę - Sażyńskich! Mój sprzed kilku dni "przeciwnik" chorąży Mieczysław Jankowski nie dał się zaskoczyć, gdy gestapo wtargnęło nad ranem, by go aresztować. Dwóch żelaznymi sierpowymi przybił do ziemi, skoczył przez okno, już miał przesadzić wysoki płot... Jednak tempo jego zeskoku wstrzymały gwoździe zaczepiwszy się o jego pidżamę. Wtedy dosięgła go kula trzeciego żandarma. Niemal identyczną śmiercią zginął podczas aresztowania Karsznicki. Więcej miał za to szczęścia kolega (nie pamiętam już jego nazwiska, nawet imienia) Lilki Wysokińskiej, który ostrzeliwując się dostał na dach, z dachu na drugi i dostał się do naszych "leśnych". Nie dał potem żadnej wiadomości. U Sażyńskich aresztowani zostali oboje rodzice, którzy akurat nieszczęśliwie wrócili do domu, trzech synów i praktykantka Cudna. Jak wspominałem, aresztowani nie od razu przekazani zostali na Pawiak. Najpierw przewieziono ich do pobliskiego miasteczka Latowicz i umieszczono w masywnie zbudowanej miejscowej szkole powszechnej. Pozostały w Mińsku najwyższy rangą oficer - właśnie "Boruta", czyli Władek Klimaszewski - nie chcąc tracić choćby chwili czasu zabrał grupę odważnych i stosunkowo przeszkolonych akowców, trochę broni z rozrzuconych po mieście i w powiecie magazynów.



Przypomniawszy sobie naszą ostatnią rozmowę, dookoptował mnie i dwóch z MON, ale ponieważ nie miał zaufania do naszego wykształcenia (poza tym byliśmy z tamtymi niezgrani) zatrzymał nas o staj od miasteczka z rozkazem obserwowania szosy głównej i bocznych od Mińska, czy nie przeszkodzi im podczas akcji jaka nagle odsiecz z Mińska czy Mrozów. Staliśmy więc, gdzie nas postawiono z rozkazem obserwacji i zakazem odejścia stamtąd dla wzięcia udziału w walce, uzbrojeni w lekką broń i dość silne lornety - ja oraz dobrzy koledzy: Jurek S. i Wiesiek R. (nazwisk nie podaję, gdyż nie wiem - mam kilka niedobrych w tej mierze doświadczeń, czy życzyli sobie, bym pisał o nich - zwłaszcza, że Wiesiek jest zapewne nadal skompleksowany po swoich przejściach, jako że za Różańskiego, Światły i Humera został skazany za rzekome kontakty z "imperialistami", też po turarach, bodaj na śmierć, lecz tak się szczęśliwie stało, że przed egzekucją doszedł do władzy Gomułka).

O bitwie pod Latowiczem wspominać i oceniać z pozycji jedynie słusznej Armii Ludowej (zresztą po jakimś czasie, gdyż z początku zakazane było wspomnianie o działalności AK) pisali jak najgorzej. Łatwo jest krytykować po czasie. Zwłaszcza akcję rozpaczliwą, przeprowadzoną słabymi siłami, że w dodatku uzbrojonymi i niewłaściwie, nawet bez chwili czasu na dokładne przemyślenie akcji, gdyż każda minuta decydowała o życiu i śmierci 64 uwięzionych. Krytykować jest łatwo. Na przykład - touspropor-tinos gardees - decyzję Kościuszki, który pod Szczekocinami rzucił do ataku na armaty przez dwieście (a nie przez sto jak pod Raclawicami) metrów na otwartej przestrzeni zbitą masę kosynierów, nie zaznajo-miwszy ich przedtem ze sztuką rozsypania się w tyralierę. Łatwo wytknąć samemu nawet Napoleonowi, że ten w przełomowym momencie bitwy pod Waterloo nie odwrócił biegu historii w XIX w. i nie rzucił do ataku swej niezwyciężonej gwardii. Rzecz jasna, że prażenie zabarykadowanego mocno budynku szkoły w Latowiczu rozsypanym ogniem z broni ręcznej mogło mieć tylko psychologiczne znaczenie, o wiele zaś więcej korzyści, a przy tym zapewne i zwycięstwo, dałoby wykorzystanie prawie wszystkich posiadanych granatów na rozstrzaskanie samych li tylko drzwi wejściowych. Nękanie zaś nimi tu i ówdzie ścian nie miało większego znaczenia. Ach, jak łatwo jest krytykować. Zwłaszcza wobec niespodziewanego zawałenia się planu pierwszego. Sprawy zawsze dotąd pistolet, do tego w rękach strzelca wyborowego nie wypadli, co spowodowało, że Niemcy nie dali się zaskoczyć... W bitwie straciliśmy dwóch z grupy szturomowej. Ranna została też nieszczęśliwie więźniarka. Strat niemieckich nie znamy. Nie mieliśmy (nasza trójka obserwatorów) dawać "Borucie" sygnału, gdy on, równie dobrze jak my, obserwował wystrzelenie przez Niemców z dachu szkoły rakiety powiadamiającej siły w Mińsku o napadzie i żądającej posiłków... Pisze Mieczysław Kintzel we wspomnieniu "Żałobna karta Mińska Mazowieckiego", wydrukowanym w "WZK" w 1969 r., że kiedy oddział z trudem przeniósł ciała poległych możliwie najdalej od miejsca bitwy - dla pochowania - "przyłączyli się jacyś, chcąc pomóc nieść". W innym miejscu wspomnienia pisanego tak dokładnie i plastycznie, że udział ich autora w bitwie wydaje się nie ulegać wątpliwości, autor wspomina jeszcze i o niespodzianym znalezieniu się w pobliżu kogoś określonego jako "NN" (nieznany). Trudno mi tu wnosić pretensje do Klimaszewskiego czy głównego wykonawcy jego rozkazów strzelca wyborowego Kazika Aniszewskiego (najmłodszego z tych Aniszewskich, co w "Budzie" nosili przezwisko z przyrostkiem "klapa" - ten byłby lub był - "Kazioklapa"), że nie przedstawili nas sobie: "Panowie będą łaskawi się poznać: Pan Tadeusz Rokitniak, pan Wiesław R., pan Jerzy S... pan Mieczysław Kintzel - kronikarz". Nie tylko trudno, głupio, ale i niemożliwe, ponieważ autora ogromnego elaboratu o "Wsypie" i bitwie pod Latowiczem wtedy pod tą szkołą nie było. Nie wiadomo, skąd czerpał swe dokładne i świetnie napisane wiadomości.

Mniejsza zresztą o to. Nie tak dawno śmiech - jakże przykry śmiech! - mnie z innego powodu ogarnął. Gdy dowiedziałem się od działacza z Mińska, że w 50 lat po okupacji kombatanci AK, którzy dożyli, kłócą się, którzy są "słusznymi akowcami", a którzy "niesłusznymi" (pewnie dlatego, że "niesłuszni" w ciągu tych pięćdziesięciu lat nie odgradzali się płotami od rzeczywistości, lecz pracowali dla dobra tego kraju bez względu na to, że ulega przekształceniu jego oficjalna państwowa nazwa).

Poróżnienie się, kto słuszny, a kto niesłuszny, nie pozwoliło legendarnemu dowódcy miejskiego i powiatowego obwodu AK majorowi "Lubiczowi" (porucznik Wolański) zamorodowanemu przez UB zbudować wspólnego pomnika w jednym miejscu i ostatecznie stanęło na trzech oddzielnych epitafiach. Nie rozumiem też, dlaczego trzykrotnie już nie zapraszano mnie na uroczystości związane z martyrologią rodziny Sażyńskich - nie dano mi okazji pochylecia się w rodzinnym mieście nad pamięcią przyjaciela nad przyjaciela - "Sadzia".

Ale teraz jest teraz, zaś pięćdziesiąt lat temu, postawieni w określonym miejscu, żebyśmy stali i obserwowali, czy horyzont nie wypełnia się czymś niebezpiecznym, nie ruszamy się z wyznaczonego miejsca, bo rozkaz jest rozkazem i tylko po każdym zagęszczeniu strzałów i huku rozrywanych granatów (w tym raz wiązki granatów) powtarzamy: "Zdrowaś Maryjo, łaski pełna... Błogosławiony owoc żywota Twojego! Spraw, niech ich wyswobodzą: świętego lekarza doktora Huberta, Osetowskiego, Smolefkiego, Popielów! Boże, ocal Czeška, ocal Sadzia!"... Ale strzały ucichają, zamarły i jesteśmy tymi "N.N.", którzy skądś się wzięli i chcą pomóc nieść zabitych.

Jak trudno wierzyć obietnicy "Proście, a będzie wam dane?" Pojąć prawdę o Miłosierdziu? Pogodzić Miłosierdzie z niepojętymi realizacjami planów Wszechwiedzącego i Nieskończenie Dobrego?!... Z bliska siedemdziesiątka ledwie kilkoro wróciło. Reszta zakatowana. I tego też pojąć nie można: katowanie, metoda najpotworniejsza z potwornych, miała służyć celowi całkiem racjonalnemu: poszerzeniu obszaru wiadomości o mińskim podziemiu. Katujący musieli, niezależnie od zawodowego okrucieństwa, działać na rzecz osiągnięcia tego właśnie celu. A i z natury rzeczy byli ludźmi inteligentnymi. Wystarczyło rzucić okiem na Czesia, by zorientować się, że nie może to być liniowy żołnierz AK, wykwalifikowany i dokładnie informowany terrorysta, wróg zagrażający fundamentom tysiącletniej Rzeszy! A więc katowanie tego, jak go w duszy z pewnością nazywali, "Quasimodo", była nie uciążliwą pracą goriłwców, lecz rozrywką miłośników słyszenia krzyku rozdzierającego gardło, widoku lejącej się krwi, grymasu przekrzywiającego jeszcze bardziej tamtą arcybrzydka twarz. Pracowity uczeń, któremu trudno było swego czasu mimo najwyższych wysiłków zostać prymusem, gdyż zdolności jego, potencia mózgu, nie nadążały za pracowitością, w tej tam izbie tortur na Pawiaku, w sytuacji człowieka, który wiadomo, że nie wyjdzie stamtąd żywy, zdobył się na swoistą "komedię" - komedię, która zwielokrotniła i przedłużyła jego cierpienie, gdyż dawała siepaczom... argument, a byli na tyle mniej od niego bystrzy, że nie spostrzegli, że katowany odwraca swoim ciałem uwagę ich od innych więźniów i od innych "wrogów", których szukają. Mianowicie przyznawał się co ileś uderzeń do nowych jakże wrogich im czynów i jakże niebezpieczne byłoby puszczenie go na wolność, a zatem nie tamtych współwięźniów. A więc to on, a nie kto inny, zastrzelił celnym strzałem szefa gestapo w Mińsku. On wykoleił pociąg. On tymi rękami, które nie wiem, czy kociaka łatwo unosiły w górę, złapał za kark, wsadził do lokomotywy i wypchnął w czerwoną otchłań paleniska zawziętego bannschuza, "krwawego Gucia", wyspecjalizowanego w strzelaniu do ludzi, którzy podeszli choćby o dwadzieścia metrów do toru. I tak dalej. Zakatowany Czesław Sażyński, student latynistyki, mój przyjaciel od pierwszego kwartału pierwszej klasy gimnazjum po 26 lutego 1944 r. odszedł właśnie do Nieba, o którym tak pięknie i tak obrazowo uczył nas ksiądz Józef Dziąg, prefekt. Gdzie są jego i ich wszystkich męczeńskie kości, nie wiem. Może ktoś tam natrafił na ślad, ale ich nie zidentyfikował? Zidentyfikowano natomiast w gwiazdach.

Cóż za niesamowita siła fizyczna i przede wszystkim psychiczna musiała też tkwić w tamtej kobiecie - jego matce, że przeżyła Pawiak, w którym straciła męża i trzech synów. Powróciła do opuszczonego atelier i jeszcze przez kilkadziesiąt lat, wraz z ocalałą Cudną (obecnie Chorobińską), pracowała w przerwanyim na rok zawodzie.

Myszę często o Czešku. Chciałbym wiedzieć, czy on też stamtąd myśli o mnie. Często też o nim myślę przed snem. I w tym i o naszych czasach szkolnych. On zaś - to też jakiś może znak przyjaźni, co nie przysnęła i po zgonie? - nie przysnił mi się ani razu na naszej tak dawno porzuconej, a potem spalonej we wrześniu 39 roku ławce szkolnej. Na przykład, że siedzi tam na swoim miejscu a obok miejsce puste, a on, jak kiedyś profesor Geleniewski, wyciągnięciem białego piszczeła wzywa mnie, bym zajął tamto wolne?

I zdarza się, że mówię do niego w myślach po naszymu dawnemu: "Kochanyng Sadziang, tyng bohaterang". A zaś językiem innym: "Módl się za nas, za kraj, zawsze bohaterski w latach niewoli, a nie umiejący wykorzystać nigdy wolności, nie pojmując wolności bez zrywania sejmów i bez przywódców, którzy by w swych programach najwyższego obowiązku przestali realizować maksymę Ludwika XIV: "Państwo to ja".

